

MARCIN
WICHA

JAK
PRZESTAŁEM
KOCHAĆ
DESIGN

ŁAWKA IMIENIA GRAŻYNY KULCZYK

Powinni mi za to płacić. Jestem jak kanarek w kopalni. Żywy tester trendowości. Gdy stężenie designu osiąga pewien poziom, wszystko jedno, w lokalu, w kultowej klubokawiarni, w eleganckim sklepie, mój organizm reaguje paniką. Pojawia się niepokój. Onieśmienie maskowane nerwowym śmiechem. Narastające objawy somatyczne: przyspieszone bicie serca. Potliwość. Jedna myśl: uciekać. Boję się białych mebli (w każdym razie dopóki się nie zabrudzą). Nierdzewnej stali. Przestronnych mieszkań, które wyglądają, jakby ich właściciele właśnie posegregowali i rozdali całą majątność, czytali wyłącznie e-booki i nigdy, przenigdy nie kupili dziecku miniaturowej latarni morskiej w Łebie.

Krótko mówiąc: mam designofobię. Silną niechęć do niektórych wnętrz, kolorów, tworzyw, a nawet krojów pisma. Objawy ustępują, gdy lokal zaczyna się starzeć. Meble pokrywa kurz. Zyski maleją, a publiczność przenosi swoje zainteresowanie w nowe miejsca.

Kiedyś myślałem, że to mój osobisty problem. Potem przeczytałem wywiad z Grażyną Kulczyk, rozwiedzioną żoną oligarchy i mecenaszką sztuki. Zrozumiałem, że to nie jakiś personalny świr. To naturalna reakcja, zgodna z intencją projektanta i zleceniodawcy. Najbogatsza Kobieta Europy Środkowej (nie licząc Ukrainy) opowiada o swojej galerii handlowej w Poznaniu:

Jest to przestrzeń publiczna, która wiele oferuje, ale też stawia pewne wymagania. Wśród odwiedzających nas w pierwszych dniach klientów zdarzali się np. także tacy, którzy (...) zdążyli wypić już kilka piw i wpadali zobaczyć nowe miejsce. Ale niesamowite było to, jak oni reagowali na Browar, jak się „dyscyplinowali”. I nawet nie było tak, że ktoś im mówił: „Panowie, fajnie by było, jakbyście tu przychodzili trzeźwi”. Nie. Oni sami, wchodząc do Browaru i widząc ten publiczny luksus, chowali za siebie butelki, nagle czuli się skrępowani. A następnym razem przychodzili bez nich.

Więc o to chodzi. Design ma onieśmielać. Dyscyplinować. Pokazywać człowiekowi właściwe miejsce. Strzec hierarchii. Żyrandole, dywany i meble działają jak *door selection*. Przypominają, że nie jesteśmy u siebie. Nadzorują gościa (ręce z kieszeni, nie garb się, schowaj butelkę). Jak w tym wierszu, który zawsze cytują w „Zeszytach literackich”:

...bowiem każde miejsce tego głazu
widzi cię. Musisz twoje życie zmienić.

Bowiem każda klamka i każda płytką marmuru, powiada: „Weź ty się chłopie ogarnij. Ubierz się jak człowiek. Zachowuj się jakoś”. Nawet nie wspominam o kamerach i ochronie na segwayach. Grażyna Kulczyk jest wystarczająco bogata, żeby mówić szczerze. Nic nie ogranicza jej ekspresji, więc śmiało rozwija swoją myśl:

Moim zdaniem, gdyby tu przyszli urzędnicy, którzy się zajmują tematami społecznymi, toby zobaczyli, jak można budować wspólnie społeczne normy. Wcale nie przy pomocy policji, nakazów, zakazów, ale właśnie estetyki. Nie wolo równać w dół, trzeba równać w górę. Szacunek za szacunek.

Całą rozmowę opatrzone tytułem *Potrzeba publicznego luksusu*.

- Co to jest dom społeczny? – spytało dziecko.
 - Masz na myśli dom opieki społecznej? – odgadła moja żona.
 - Chyba tak.
 - No, wiesz, jeśli ktoś jest bardzo chory albo stary, albo niesamodzielny, to może zamieszkać w takim domu, mieć opiekę...
- Dziecko spojrzało na nas z wahaniem.

- I tam się chodzi?
- No tak. Na przykład w odwiedziny.
- A przestrzeń?
- Co przestrzeń?
- Co to znaczy „przestrzeń społeczna”?
- Nie wiem – skapitulowała żona. – Może chodzi o przestrzeń publiczną?
- Tak, publiczną! – rozpromieniło się dziecko. – Więc co to jest dom publiczny?

Przestrzeń publiczna.

Na przykład plac. Kiedy wprowadziłem się na Grochów, była tu trawa, niedopałki, a także topole i alkoholicy. Pierwszego dnia jeden z nich zerwał się na mój widok. Może nie tyle zerwał, ile ostrożnie zmienił położenie. Zrobił kilka kroków i o coś spytał. Nie zrozumiałem ani słowa, a gość z napięciem czekał na odpowiedź.

- Za piętnaście czwarta – rzuciłem na próbę.
- Ale jaki dzień, kurwa, jaki dzień? – jęknął.

Minęło parę lat i urządzili sobie w tym miejscu salon dzielnicy. To znaczy:

- . wycięli topole,
- . trawniki wyłożyli kamieniem (na marginesie: siki nie wsiąkają w granit),
- . zbudowali strzeliste ławki.

Wgłębione siedzisko z drewnianych żerdek i odchylone oparcie. Cała wysoka na jakieś dwa metry. Forma ławki nawiązuje do kształtu pobliskiego kościoła, modernizmu skrzyżowanego z gotykiem.

Warto zauważyć, tendencja salonowa najlepiej i najpiękniej wyraża się w sporze o ławki. Jak wiadomo, siedzisko przyciąga pijaków. Młodzież. Bezrobotnych. Lumpenów. Jednym słowem, ludzi, którym się nie spieszy.

Dlatego mieszkańcy domagają się likwidacji ławek przy okazji kolejnych rewitalizacji i remontów.

No, ale nie. Przecież tak nie można. Bo jednak są matki z dziećmi. Rodzice muszą gdzieś przysiąść, kiedy ich malec śmiga na deskorolce po nowej kostce Bauma. I nawet staruszek z grupy 50+ chciałby przycupnąć i popatrzeć na nową fontannę, kiedy już zrobi zakupy w aptece „Zdrowy Rabat”.

Ławki są niepożądane, ale jednak są potrzebne. Rozwiązanie tej fundamentalnej sprzeczności – to zadanie dla designerów i architektów. Tutaj potrzeba inteligentnego miejskiego mebla dla dobrych obywateli.

Dlatego ławka waży pięć ton, nikt jej nie przeniesie. Jest, tylko usiedzieć się na niej nie da. W każdym razie nie dłużej niż pięć minut. Potem – marsz do roboty. Albo szukać miejsca w noclegowni.

W Szczecinie, jak donosiła „Gazeta Wyborcza”, przystanki koło dworca kolejowego były oblegane (to nie mój dobór słów) przez bezdomnych. Spali na ławkach i pili alkohol.

ZDiTM i właściciel wiat przystankowych, firma AMS, znaleźli kompromisowe rozwiązanie – oparcia zamiast ławek. Zamocowane pod skosem, na odpowiedniej wysokości.

– Podpatrzyliśmy to w Niemczech, dokładniej w mieście Kassel – tłumaczy Dariusz Wołoszczuk, rzecznik ZDiTM. – Takie konstrukcje są udogodnieniem dla pasażerów, a nie przyciągają osób, które chciałyby się na przystanku przespać.